

O patologicznym eskapizmie i podstarzałych enfant terrible



Albert Świdziński

O patologicznym eskapizmie i podstarzałych enfant terrible

Jakże wiele przykładów bolesnego kontaktu z rzeczywistością – i bohaterskiego jej wypierania – dostarczyły nam ostatnie tygodnie! Najpierw Unia Europejska – w osobie Ursuli von der Leyen – wykonała klasyczny pusty przebieg. Chodzi o szczyt Chin-UE. Podczas tego szczytu von der Leyen (i jej podstarzałe enfant terrible końca historii w rodzaju Kai Kallas) surowo domagała się od Chin, aby te natychmiast zaczęły się zachowywać poprawnie. W optyce wyznaczającej trendy potęgi regulacyjnej oznaczać to ma natychmiastowe zaprzestanie wspierania Rosji w wojnie na Ukrainie (i wymuszenie na niej „usięcia” przy stole negocjacyjnym), zapewnienie europejskim firmom wolnego dostępu do chińskiego rynku, zapewnienie UE tyle, ile sobie tylko zapragnie, pierwiastków ziem rzadkich (na których rafinację Chiny mają w wielu wypadkach monopol) oraz powstrzymanie przez Pekin nadprodukcji przemysłowej tamtejszych firm. Oczywiście chińscy mandaryni całkowicie zignorowali surowe napomnienia starszej pani. Nie była ona w stanie nawet skutecznie zlecić zabójstwa wilka, który zjadł jej kucyka. Była w stanie, owszem, nagiąć lub złamać przepisy unijne, które zakazują odłowu wilków – ale już polowanie nań zakończyło się fiaskiem. Nawiasem mówiąc, czyż nie jest to niezwykle celny opis kompetencji „technokratycznych” elit unijnych, które dobrze i sprawnie poruszają się jedynie w stworzonym przez siebie świecie setek tysięcy regulacji, komitetów i ustaw – ale kiedy wyjdą poza ramy wyznaczone przez instytucje unijne, są bezradne jak niemowlęta?

Chińscy mandaryni zignorowali von der Leyen, bo niezawodnie dostrzegli, że Europa – jak to ujął Donald Trump podczas pamiętnej kłótni z Wołodymyrem Zełenskim w Gabinetce Owalnym – nie ma kart. Po pierwsze, nie ma alternatywy wobec chińskich metali ziem rzadkich; po drugie, sama von der Leyen, nawet jeśli ma ambicje, ma pole manewru głęboko ograniczone unijną inercją instytucjonalną i sprzecznymi interesami państw członkowskich; po trzecie, prowadzenie ostrzejszej polityki wobec Chin jest anatemią dla ledwie dyszącego niemieckiego przemysłu; po czwarte, Unię Europejską nawet mocniej niż Chiny dociskają Stany Zjednoczone. Gdy dodać do tego poważne – grożące wybuchem wojen religijnych – napięcia społeczne w Europie pomiędzy

ludnością rdzenną a napływową, sprowadzaną przez poprzedników von der Leyen (również wirtuozów strategii), okaże się, że Europa absolutnie nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek tąpnięcie, szczególnie w wymiarze gospodarczym. Bo jeżeli do niego dojdzie, europejskie społeczeństwa mogą ostatecznie odwrócić się od establishmentowych partii politycznych – a to szybko może zakończyć karierę polityczną von der Leyen, która musiałaby znaleźć sobie uczciwą pracę zgodną z jej charakterem i talentami – na przykład nauczycielki w szkole dla dziewcząt. Już teraz w Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii największym poparciem społecznym cieszą się partie polityczne absolutnie wykluczone z głównego nurtu polityki – Reform Party, AfD czy Front Narodowy.

W świetle tego wszystkiego surowe pouczanie przez von der Leyen Chińczyków, aby ci natychmiast przestali popierać Putina, jest groteską. Gdyby mandarynom chciało się z oderwanymi od rzeczywistości starymi kobietami z UE w ogóle wchodzić w takie dyskusje (zamiast udzielać im lekcji Realpolitik, jak uczynił to wobec Kai Kallas szef chińskiego MSZ-u Wang Yi), niezawodnie spytałiby się ich: a jak nie, to co nam zrobicie? Do końca poderżnięcie gardło niemieckiemu przemysłowi? Sprowadzicie na siebie kryzys gospodarczy, który w najlepszym razie zakończy erę dominacji starych partii politycznych, a w najgorszym będzie katalizatorem wojen religijnych i domowych w całej Europie Zachodniej?

Oczywiście, można sobie wyobrazić, że Europa zagrozi Chinom rzuceniem się w ramiona Stanów Zjednoczonych; problem polega na tym, że choć być może Ameryka ma ochotę na bliskość Europy, z pewnością nie chodzi jej o przytulanie, nawet jak już będzie po wszystkim. Najdobitniejszą tych zamiarów demonstracją jest kształt umowy celnej, jaką w panice udało się Europie zawrzeć ze Stanami. Po miesiącach pustych spotkań Unia Europejska – największy blok handlowy na świecie – dostała do podpisania (ale nie do negocjacji) umowę celną gorszą niż ta, którą Waszyngton zaproponował Japonii. Unia Europejska, śniąc o projekcie suwerenności (łącznie z odstraszeniem nuklearnym!), spędziła miesiące na częstych próbach negocjowania ze Stanami umowy o wolnym handlu – oczywiście umowy o wolnym handlu à la UE, a więc liczącej tysiące stron. Niezawodnie europejscy negocjatorzy wyobrażali sobie, że dzięki temu podejściu znajdą się w swojej strefie komfortu, prowadząc negocjacje nad definicjami krzywizny banana czy też oznaczeniami geograficznymi i dyskutując zawzięcie przez lata – jak to miało miejsce w wypadku chociażby negocjacji z Australią. Bolesnie się jednak zawiedli, bo porządek, którego częścią był zarówno wolny handel, jak i rozwleczone, technokratyczne negocjacje, jest równie martwy, co porządek utworzony po kongresie wiedeńskim. Europejczycy ani nie poszli ze Stanami na zwanie, jak Chiny, ani jak kłaniająca się w pas Wielka Brytania nie wypłaciła potulnie haraczu.

W rezultacie wcześniejsze porozumienie z USA osiągnęła Japonia, która, owszem, obiecała zapłacić, ale też zdołała uzyskać jednolitą stawkę 15% ceł, w tym na samochody. Kiedy z kolei Japonia – potęga przemysłu motoryzacyjnego – takie warunki uzyskała, stało się jasne, że każde inne państwo chcące konkurować na rynku amerykańskim musi uzyskać co najmniej takie same warunki. W wyniku tego Europejczycy, którzy na dodatek a priori pozbawili się możliwości lewarowania współpracy z Chinami, dostali do podpisu umowę podobną do tej japońskiej, tylko gorszą, bo nakładającą na nich obowiązek większych inwestycji i liczonych w setkach miliardów zakupów energii.

Nad wszystkim zaś pieczę sprawował Donald Trump i siedząca obok niego jak trusia Ursula von der Leyen, którą zresztą Trump podczas rozmowy z widoczną satysfakcją upokarzał – podobnie zresztą jak Chińczycy, którzy nie uznali za stosowne wysłać kogokolwiek do przywitania jej na czerwonym dywanie, po którym dreptała, udając się na rozmowy z Xi Jinpingiem.

Jednak wypieranie rzeczywistości fantazjami o minionej potędze dotyka nie tylko Europejczyków, ale i wielu w Ameryce. Oto w połowie lipca amerykański think tank Hudson Institute opublikował jeden z najbardziej absurdalnych, oderwanych od rzeczywistości raportów, jakie autorowi przyszło czytać nie w ostatnich miesiącach czy nawet latach, ale w całym swoim życiu. Jest w tym pewien paradoks, bo Hudson Institute został założony przez Hermana Kahna, jednego z pionierów strategii nuklearnej, twórcę pojęcia (jakże bliskiego subskrybentom Strategy&Future) drabiny eskalacyjnej. Kahn słynny był co prawda ze skrajnych porównań i z tego, że uznawał, że należy „wyobrażać sobie niewyobrażalne” – ale dotyczyło to raczej scenariuszy przerażających, które mimo wszystko trzeba było brać pod uwagę, w tym przede wszystkim wojny jądrowej. Obecnie jednak analitycy Hudson Institute poszli w inną stronę – a mianowicie w stronę świata kojących jak heroinowy sen eskapistycznych marzeń.

„China after Communism: Preparing for a Post-CCP China” – tak zatytułowany jest raport Hudson Institute. Proponuje się w nim metody działania Stanów Zjednoczonych na przyspieszenie (nieuniknione go zdaniem autorów) upadku Komunistycznej Partii Chin oraz sposoby zarządzania tym państwem, kiedy wizja ta już się zmaterializuje. Można sobie łatwo wyobrazić, że upadek komunistycznej „dynastii” rządzącej Chinami jest Stanom Zjednoczonym na rękę – chociaż należy przy tym pamiętać, że w wypadku ZSRR perspektywa ta budziła głęboki niepokój w kręgach amerykańskich decydentów, nie tylko z uwagi na chaos, jaki generuje upadek imperiów, ale również dlatego, że w takim chaosie nader łatwo stracić z oczu broń masowego rażenia, z nuklearną na czele.

Pytaniem przedwstępnym powinno być jednak to, jaki ciąg wydarzeń mógłby doprowadzić do upadku rządzącej obecnie w Chinach „dynastii”, która do tej pory zdołała wyprowadzić z ubóstwa 800 milionów ludzi, 500

milionów z nich przenosząc do miast, zbudować potęgę przemysłową nie mającą rywala na świecie oraz zdolności militarne, które w opinii wielu amerykańskich analityków wystarczyłyby do zwycięstwa nad Stanami Zjednoczonymi w obrębie pierwszego, a może i drugiego łańcucha wysp. Autorzy raportu Hudson Institute z błogością ignorują te pytania, zadowolając się stwierdzeniem, że „chiński wzrost gospodarczy gwałtownie hamuje, a spadająca dzietność i kryzys na rynku mieszkaniowym” sprawiają, że „nagle załamanie reżimu w Chinach nie jest całkowicie niewyobrażalne”. Zadowoleni z tego wyjaśnienia analitycy Hudson Institute całkowicie puszczają wodze fantazji, kreśląc scenariusze godne „Rambo”. Istotną rolę odgrywają w nich amerykańscy komandosi, którzy „na długo przed upadkiem KPCh” powinni zaangażować się w „kampanię strategicznej komunikacji, dyplomacji publicznej oraz tajnych operacji”, w tym poprzez „tworzenie sieci szpiegowskich, cyberoperacje oraz wykorzystanie innych tajnych metod pozwalających na dostarczenie prawdziwych informacji chińskiej populacji”. Te z kolei „pozwolą na zasianie wątpliwości w monopol na interpretację przeszłości, posiadany przez KPCh”. Pomijając niewygodny fakt, że każdy sprzedawca podrzobionych słuchawek Apple w Szanghaju ma na swojej wizytówce numer WhatsApp, każdy student ma Instagram, a tajne operacje CIA w Chinach zakończyły się tak, że w 2012 roku siatka została wykryta, a jej członkowie wymordowani, warto zwrócić uwagę na zupełnie fantastyczną wizję udziału w tym wszystkich amerykańskich wojsk specjalnych. Autor (swoją drogą, anonimowy) zdaje się wyobrażać sobie, że żołnierze wojsk specjalnych mogą, zupełnie jak Rambo, najpierw prowadzić niewykryci (w totalitarnych Chinach!) operacje wpływu, a następnie, teleportować się do kraju w środku wojny domowej i zacząć zabezpieczać amerykańskie interesy w Chinach niczym europejscy żołnierze podczas powstania bokserów. Wystarczy do tego miałoby „po 20 żołnierzy”, którzy wraz z dyplomatami pojawiliby się „w Pekinie, Szanghaju, Wuhan i Kantonie” – co jest pomysłem prawie tak dobrym, jak wysłanie amerykańskiego ambasadora do Bengazi w 2012 roku – skutek będzie ten sam. Ci sami żołnierze mają potem prowadzić „patrole”, dzięki którym będą „na idealnej pozycji, aby zrozumieć nastroje populacji postkomunistycznych Chin”. Aż trudno uwierzyć w ten stopień fetyszyzacji możliwości wojsk specjalnych – jedynym wytłumaczeniem musi być to, że autor raportu Hudson Institute ma 13 lat i jest świeżo po całodniowej sesji oglądania „Rambo” i „G.I. Joe”, która to sesja stanowiła jednocześnie jego jedyny w życiu kontakt z tematyką militarną i polityczną zarazem.

Inny ze współautorów raportu snuje wizję, w której Amerykanie przeprowadzają uderzenia na chińskie laboratoria, w których bada się patogeny, które to laboratoria mają zajmować się przede wszystkim badaniami nad bronią biologiczną. Z pewnością nie można wykluczyć, że Chińczycy takie prace prowadzą, ale można wątpić, czy jest to kluczowe zadanie tych laboratoriów – a dodatkowo należy pamiętać, że badania nad koronawirusem prowadzone w Wuhan były współfinansowane przez amerykańskie instytucje. Szczególnie ciekawe zdaje się uzasadnienie autora tej sekcji raportu, który jest zdania, że Chiny skupiają się na broni chemicznej, bo „ALW nie może osiągnąć przewagi w konwencjonalnej domenie militarnej nad Ameryką, o NATO nie wspominając”. Znalazłszy uzasadnienie, współautor tej sekcji raportu podobnie jak inni „odpina wrotki” i zaczyna kreślić wizję „siłowego wejścia” amerykańskich wojsk specjalnych do laboratoriów tworzących broń biologiczną i wyniesienia jej stamtąd. Mówimy o zajęciu laboratorium w obcym kraju, dysponującym najliczniejszymi siłami zbrojnymi na świecie! Tu dostrzec można wyraźną inspirację serią filmów „Resident Evil”; jeżeli jednak amerykańskim komandosom nie udałoby się zająć laboratoriów, należałoby je zniszczyć precyzyjnymi atakami, co oczywiście byłoby banalnie proste, bo Chiny w magiczny sposób przestałyby dysponować obroną powietrzną (w wyobraźni ekspertów Hudson Institute chińskie jednostki OPL zostałyby zneutralizowane przez nieśmiertelnych operatorów amerykańskich wojsk specjalnych). Można się zapytać, dlaczego USA miałyby atakować wyłącznie instalacje związane z bronią biologiczną, a nie nuklearną – ale czepliwanie się takich detali ma tyle sensu, co krytyka fizyki w „Gwiezdnym wojnach”.

Autorzy snują jeszcze wiele innych scenariuszy, od restrukturyzacji i prywatyzacji systemu finansowego (łącznie z zamrożeniem aktywów i przejmowaniem pasywów) po demilitaryzację i demobilizację Chin (do czego potrzebne byłoby „zmobilizowanie przez Japonię i USA mandaryńskojęzycznej” dywizji). To ostatnie miałoby pomóc w osiągnięciu celów w rodzaju „przekonania postkomunistycznych władz, aby uznały Tajwan za wzór tego, jak prowadzić reformy, zakończyć wsparcie dla Korei Północnej, zakończyć spory terytorialne z sąsiadami, porzucić imperialną kontrolę nad Morzem Południowochińskim” oraz wreszcie – nakłonić je, to jest Chiny, „do porzucenia celów globalnej i galaktycznej hegemonii”. To ostatnie jest niewątpliwie celem nadrzędnym, bo autorzy raportu Hudson Institute mają rację; trudno zaakceptować żądze podporządkowania sobie całej galaktyki przez „postkomunistyczne władze Chin”. Autorzy zastanawiają się nad tym, jak rozwiązać problem okręgów autonomicznych. Miałoby to zależeć od tego, czy będą one chciały ogłosić niepodległość czy przyłączyć się do innych państw (trzeba by ustalić, które „zasługują na pomoc w odłączeniu się od Chin”). Z pewnością w zarządzaniu chaosem pomogłoby postulowane „wykorzystanie mediów społecznościowych w celu komunikowania oficjalnych wiadomości z USA”. Utrwaleniu nowego porządku przysłużyłoby się z kolei stworzenie „miejsc pamięci, pomników oraz muzeów w miejscach o znaczeniu symbolicznym”, poświęconych zbrodniom komunistycznym, oraz stworzenie nowej konstytucji, o czym również traktuje raport Hudsona (łącznie z wyliczeniem właściwej liczby delegatów); dokładnej treści konstytucji, co prawda, nie zaproponowano, ale wskazano konieczność „podniesienia praw człowieka do rangi najważniejszej” oraz konieczność stworzenia „demokratycznego rządu i dwuizbowego parlamentu”. Co godne odnotowania, analitycy Hudson Institute snują też rozważania o tym, czy Chiny powinny zmienić nazwę, hymn oraz flagę.

Pisanie nawet mało prawdopodobnych scenariuszy jest niezbędne; równie niezbędne jest rozważanie, jak doprowadzić do upadku innych państw lub w jaki sposób z takiego upadku skorzystać. To działania całkowicie zrozumiałe. Oczywiście można się zastanawiać, czy i kiedy o takich planach warto mówić, ale ostatecznie Hudson Institute nie jest powiązany z rządem USA, więc może sobie pisać, co chce. Jest natomiast wysoce niepokojące, że szanowany amerykański think tank uznał za dobry pomysł wydanie pod własnym szyldem dokumentu, który nawet nie próbuje udawać, że jest zakotwiczony w jakikolwiek sposób w rzeczywistości i realnej korelacji sił. Stany Zjednoczone rozmontowują właśnie swój własny, autorski porządek międzynarodowy, przygotowują się do wycofania swoich sił z Europy, niezdolne są do powstrzymania rebeliantów Huti i zużywają do powstrzymania ataku Iranu na cele w Izraelu 25% wszystkich wyprodukowanych rakiet przeciwbalistycznych do systemu THAAD, co oznacza, że odnowienie ich zapasów zajmie od trzech do ośmiu lat. Niezdolne są do wyprodukowania wystarczającej liczby okrętów podwodnych, a przez to zmuszone są do wycofania się rakiem z programu ich sprzedaży Australijczykom (co było sednem paktu AUKUS); Ameryka jest zadłużona na 36 bilionów dolarów i targają nią sporadycznie tak głębokie, że Ray Dalio jest zdania, iż znajduje się ona na nieuchronnym kursie w stronę wojny domowej. I ten właśnie moment wybrali analitycy jednego z poważniejszych (przynajmniej pozornie) amerykańskich think tanków na opublikowanie swoich mokrych snów o amerykańskich komandosach, którzy w zespołach po 20 najpierw rozmontowują KPCh, a następnie urządzają Chiną od nowa, łącznie z zapewnieniem im nowego hymnu, flagi i konstytucji.

Oczywiście pomimo tych ambitnych prób europejskich biurokratów i amerykańskich analityków nie mogą oni dorównać pod względem zdolności wypierania rzeczywistości mistrzom świata w tej kategorii, a więc Polakom. Oto w ostatnim tygodniu PiS opublikował dokument zatytułowany „Deklaracja polska”. Tu należy wtrącić, że zwykło się mówić, iż w Polsce największym szacunkiem otacza się pompatycznych głupców. Autorzy deklaracji uznali więc z pewnością, że pompatycznie głupio zatytułowany dokument również musi zyskać aprobatę. „Deklaracja polska” składa się z 10 punktów; pozwolę sobie pominąć treść wszystkich z wyjątkiem jednego – a mianowicie punktu trzeciego, w którym stwierdza się: „Należy bezwzględnie postawić na ścisły, niezachwiany, strategiczny sojusz militarny i gospodarczy ze Stanami Zjednoczonymi. Armia polska musi zostać rozbudowana we współpracy z USA i nie być podporządkowana rozkazom Unii Europejskiej”. Czyż trzeba tu coś dodawać; jaki sens ma przeprowadzanie po raz tysięczny egzekucji amerykańskiej wielkiej strategii, przypomnienie słów Marca Rubio o końcu amerykańskiej hegemonii, planów wycofywania amerykańskich sił z Europy i odmowy wypowiedzenia przez Sojusz Północnoatlantycki Aktu Stanowiącego NATO-Rosja czy opis zdolności amerykańskiej bazy przemysłowej? Po co to wszystko, skoro i tak polscy czempioni wyparcia zignorują każdy sygnał, każde ostrzeżenie i każdą wypowiedź, która mogłaby zachwiać ich budowanym z mozołem i istniejącym wyłącznie w ich wyobraźni obrazem świata? A że z drugiej strony fikcyjnego podziału politycznego najlepszą propozycją jest „historyczny” (i jeszcze bardziej fikcyjny) sojusz z Francją, pozwalam sobie powtórzyć raz jeszcze: dla Czytelników jedynym priorytetem powinna być troska o bezpieczeństwo własne i rodziny. I ewentualnie modlitwa, dla wierzących.